

Prawie niewidzialna

Przełożyła Izabela Zając

Jest skwarny dzień. Na skórze czuję lepkość waty cukrowej. Powietrze się rozpada. Pierwszy piorun. Później odgłos gromu. Swobodny wdech. Wszędzie jest muzyka – w ścianie deszczu, moim kaszlu, nerwach. W hałasie podnoszonych przez wiatr puszek po coca-coli koło śmietnika. W zmoczonych kwiatach i kamieniach, w kościach, w piasku...

Wszystko, co tajemnicze, chce pozostać ukryte. Pewnego razu, gdy byłam studentką, na wakacjach nad bułgarskim morzem (pewien student psychologii sprawnie pomagał mi postawić namiot, a później równie umiejętnie piekł dla mnie omułki na ruszcie, który pożyczył nam niemiecki archeolog), po odpływie wczesnym rankiem znalazłam na piasku przedziwne istoty siłą wywleczone z bezpiecznej kryjówki morza. Muszle były na wpół otwarte, wilgotne i czegoś w nich brakowało. Kiedy później wróciłam na plażę, słońce ostro grzało, a muszle były silnie zamknięte, żeby stworzenia, które w nich żyją, nie wyschły w upale. Chowają się w piasku, w trzasku jego muzyki i czekają na kolejny cykl przyptywu, który zabierze je z powrotem ze śmiercionośnego terestialnego świata do bezpiecznego morza.

Może moja babcia umarła w chwili, kiedy niespodziewanie dosięgła mnie morska fala. Dusiałam się, miotalam w słonej wodzie. Czuję się, jakbym nagle wypadła z gigantycznego objęcia. Nie wiedziałam jeszcze o jej śmierci, kiedy wraz z niemieckim archeologiem badającym pozostałości bizantyńskiego klasztoru w górach Riła i studentem psychologii jedliśmy pieczone omułki. Bułgarska przyjaciółka archeologa się gniewała. Nie ufała ludziom, którzy szybko nawiązują przyjaźnie. Siedziała w piasku, kolana pod brodą, ponuro milczała, obserwując morze. Piliśmy przejrzystą palinkę, po której zrobiło mi się niedobrze. Wieczorem wciąż jeszcze nie wiedziałam o śmierci babci. Zanurzałam stopy w chłodnym piasku. Student psychologii próbował sprawdzić, czy ma szansę przenocować w moim namiocie. Mówił łagodnie, wyrafinowanie, w końcu był studentem psychologii! Oblepiony piaskiem szedł obok mnie, księżyc świecił, spadło parę gwiazd – przynajmniej tak mi się teraz wydaje. „Kiedy spadają gwiazdy, ktoś umiera” – zwykła mówić w takiej chwili moja, wtedy już od kilku godzin nieżyjąca, babcia. „Małe światło opuszcza ten świat i wstępuje do innego świata” – dodawała niemal wesoło.

.....

Wspomnienia zanurzone w pulsującym, płynącym języku. Łączą bliskie z odległym. Prawdziwe i fałszywe.

.....

Bez wspomnień bylibyśmy opustoszaali. Jak po utracie pamięci. Zdezorientowani, niepewni, nasze uczucia nie miałyby się na czym oprzeć.

.....

Głos z CD: „Znajdź we wspomnieniach miejsce, do którego chętnie wracasz”.

Mam szesnaście lat. Siedzę pod stuletnią lipą. Na kolanach mam otwarty podręcznik do łaciny. Uczę się pierwszej koniugacji: *laudo, laudas, laudat, laudamus, laudatis, laudant*. Jest wczesna jesień. Obok mnie siedzi prababcia. Moja babcia, mama mamy, niedawno wzięła ją do siebie, do starej kurii. Prababcia jest niewiele młodsza od lipy, pod którą obydwie siedzimy.

W pewnej chwili prababcia zamienia się w wątły gatunek zwierzęcia sprzed czasów człowieka. W końcu zwija się w kłębek, przypomina jajko z cieniuteńką skorupką. Myślałam, że w tym kosmicznym jajku zasnęła już na zawsze, tym razem podobna do jaszczurki, ale kiedy zbliżył się do nas jakiś mężczyzna z kobietą, pozdrowiła ich: „Dzień dobry”. „Guten Tag” – odpowiedzieli naraz, zakłopotani. Mężczyzna uśmiechnął się, wskazał na swój aparat i o coś zapytał. Z zawstydzeniem kiwnęłam głową, jakbym zrozumiała. Sfotografował stuletnią kurię otoczoną sadem, moją prababcie i mnie pod stuletnią lipą. Może do tej pory gdzieś w Niemczech jest ta fotografia ze strzępkiem późnego jesiennego popołudnia. Całe moje przyszłe życie było tak odległe. Podobnie jak całe dawne życie prababci. Ponoć krążył wokół niej duch, bo – jak mawiała – przywołuje go do siebie części jej. Swojego męża, dawno zabitego w obcej fabryce.

Kiedy para odeszła, z gotyckiej kamiennej wieży dobiegło nas bicie dzwonu. Zagłuszyło nieprzerwany szum Wagu. Położyłam książkę na drewnianej ławce. Zrzuciłam z nóg sandały. Zawirowałam w tańcu na zakurzonej drodze w rytm metalicznych, ciężkich tonów. Duchy powietrza składały mi na twarzy pocałunki. Małe smoki z główek kwiatów przysiadły na ramionach. Bożek lipy, pachnący jak piżmo przyszłych kochanków, łaskał mnie po ciele. Prawie stuletnia kobieta w czerni, prekursorka i następczyni wszystkich kobiet w czerni, śmiała się bezzębnyimi ustami i klaskała, uderzając o siebie kośćmi dłoni. Śmierć spokojnie wraca do życia.

.....

Czasami sprawdzam resztki matki pamięci. Pokazuję jej w albumie zdjęcia rodziców i sióstr: starszej, przyrodniej, która umarła w Randolphe na raka płuc. I młodszej, która mieszka niedaleko. Są także zdjęcia obu braci mamy: jednego jeszcze małego, też przyrodniego, gdzieś w Pittsburgu, i drugiego – na rok przed jego śmiercią w szpitalu w Liptowskim Mikuluszu. Rozpoznaje młodszą siostrę i zupełnie niewinnie stwierdza, że teraz, kiedy siostra po przejściu raka piersi nosi perukę, przynajmniej zimą nie będzie marzyła w głowę. Siostra mamy, moja ciocia, była dyskobolka, która swój pierwszy dysk kupiła za oddanie krwi w stacji krwiodawstwa, pokazuje tysiąc głowę po chemioterapii. Z melancholijnym uśmiechem mówi, że chciałaby wiedzieć, jakie będą poglądy na współczesną medycynę za jakieś sto lat. Czy w przyszłości także będzie się wycinać macice i amputować całe piersi. Wyznaje, że zawsze, kiedy staje naga przed lustrem, zaczyna

płakać, bo przeraża ją myśl, co się stało z tymi częściami ciała, które już prawie siedemdziesiąt lat były jej najintymniejszą częścią.

Jako dziecko zapytałam pewnego starszego jednonogiego mężczyznę, gdzie ma drugą nogę. Hamerykan – tak nazwali go mieszkańcy wsi, kiedy na zawsze powrócił z Ameryki do kraju – zawiesił kule i spokojnie odpowiedział: „Dziecino, spalili ją w piecu w pewnym amerykańskim szpitalu. Twój pradziadek miał więcej szczęścia. Zginął w fabryce. Był staby. Podczas przerw tylko leżał na drewnianej ławce. Wszyscy pozostali siedzieli i jedli. A on tylko spał i spał. Aż zasnął w tej przeklętej fabryce”.

.....

Piszę o babciach, prababciach, bo dziadków słabo znałam. Przebywają gdzieś w ciszy, strzeżeni we wspomnieniach swoich żon. Babcia mawiała: „Twój dziadek był surowy, ale sprawiedliwy”. „Twój dziadek znał tylko pracę”. „To drewniana walizka twojego dziadka, z którą wrócił z Ameryki”. „To jego żołnierskie zdjęcie z pierwszej wojny”. „To zdjęcie jego pierwszej żony pochowanej w Ameryce”. „Tu ze swoim dwojgiem dzieci, które przywiózł ze sobą z Ameryki”.

Prababcia wbijała mi do głowy: „Twój pradziadek zginął w amerykańskiej fabryce żelaza, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, a moje dziecko, twoja babcia, trzy lata. Od tej pory żyję sama. Tylko z duchami”.

.....

Myśl jest jak zamknięta komnata. Przebiega w niej ruch myśli, przeczuc, subtelne znaki powracają w pętlach czasowych....

.....

Czasami potrafimy dostrzec znaki w zwyczajnych rzeczach. Bo znaki i przecucia to sygnały. Mają źródło gdzieś w naszym epicentrum. Albo przemieniamy je w osobliwe metafory.

.....

Młoda bezdomna dziewczyna, brudna, półnaga, leżała na ziemi na dworcu pod budką z hot dogami, która była jeszcze zamknięta. Spała i głośno śmiała się przez sen. Raczej pod wpływem miłosiernego działania narkotyków niż snu. W ciągu dnia ludzie jak mrówki będą w pośpiechu przechodzić przez ogromną halę, a ją obudzą policjanci. Zmuszą ją do wyjścia w rozpaloną przestrzeń miasta, rozczochraną włóczęgę, nienależącą do nikogo, nawet do siebie samej. Zapamiętam ją na zawsze, choć prawie nie widziałam jej twarzy, policzek zakrywały splątane włosy. Zmarnowane egzystencje zachodzą nam za skórę.

.....

Ciemność. Moje mieszkanie jest pełne szeleszczącej ciszy, jakby ciało przy ciele leżeli w nim niewidzialni śpiący. Ale oni nigdy się nie obudzą. To tylko moje wspomnienia. „Wspomnienia są dla mnie ważne. To moje dokumenty” – napisała Louise Bourgeois.

.....

W nocy obudził mnie dźwięk. Coś przypominającego pieśń. Dziecinną kołysankę. Wstałam i poszłam po szklankę wody do kuchni. Mama w koszuli nocnej po same kost-

ki krążyła po mieszkaniu. Włosy sterczały jej wokół głowy jak parzydełka Meduzy. Szała jak lunatyk. Nie przeszkadzając sobie, nie zmieniając tempa. Światło księżycza wlewające się przez niezastonięte okno w zimową, pobożonarodzeniową noc prześwitywało przez cienką koszulę. Widać było kontury wysuszonego ciała. Kusiło mnie, żeby wziąć kamerę i uchwycić tę steraną istotę, fizycznie obcą, nieporównywalną z moją mamą z dzieciństwa. Nagrać ją, udokumentować kobietę przemieniającą się w przygnębienie wywołane przez coraz bardziej skołowany umysł. I samotność. „Mamo, co ci jest?”. Nie zareagowała. Nie zmieniła rytmu kroków. Tylko spojrzała na mnie z wyrzutem i weszła do pokoju mojego syna, gdzie od jakiegoś czasu sypia pod plastikowymi samolocikami na ścianie. Ponoć czasami budzi się przestraszona, że ze ścian schodzą na nią wielkie pająki. Innym razem, kiedy zbliżam się do jej łóżka, patrzy na mnie z miną winowajcy, jakby chciała cofnąć czas. Wyciąga rękę, chyba chce mnie dotknąć, pogłodzić po włosach, po twarzy, czego nigdy nie robiła w dzieciństwie, ale teraz jest już za późno. Na myśl o tych dotykach cierpie mi skóra. Teraz moja kolej. To ja dotykam jej ciała. Obcinam jej paznokcie, włosy – wciąż kręcone i w niewielkim stopniu posiwiałe. Czy teraz to ja jestem jej surową matką?

Obejrzałam dziś w telewizji wspomnienia wojenne Koreanki. Miała tylko jedno oko. Ciągle marszczyła podłużną twarz przypominającą sierp księżycza. Opowiadała o bombardowaniu, gwałtownych płomieniach, które buchnęły jej prosto w twarz. O ogromnym szoku. O tym, że kiedy spojrzała w dół, zobaczyła własną zwisającą gałkę oczną. Krzyczała do zranionej mamy, żeby oderwała jej oko, bo chce się ukryć pod jej ciałem. Ale mama nie mogła jej pomóc, nie mogła się ruszyć. Tylko krzyczała do córki, żeby sama oderwała. Mogła być w moim wieku albo tylko trochę starsza. Jej wyznania spowodowały, że rozbolał mnie brzuch, jakbyśmy były połączone pępowiną. A może jesteśmy. Kiedy byłam dzieckiem, mama wkładała do pudełek moje ubrania, swetry i buty. „To na zbiórkę dla dzieci z Korei. Tam jest teraz wojna” – tłumaczyła. Może właśnie ta jednooka kobieta dostała mój ukochany sweterek z angorskiej wełny, który z płaczem zabrałam z pudełka. Ale mama zdecydowanym ruchem zabrała mi go i wsadziła z powrotem. Może ta koreańska dziewczynka też przyciskała buzię do mojego sweterka jak do żywego królika.

Kiedy pytam mamę o jej sny, odburkuje, że nie ma żadnych snów, bo wcale nie śpi. A przy tym śpi całą noc, niekiedy także w ciągu dnia. Albo siedzi w milczeniu gdzieś w cieniu, dokładnie tak, jak robił to ojciec, zanim rak wyżarł mu wnętrzności. Czasami podczas rozmowy mama zacina się w środku zdania, nie potrafi już kontynuować, słowa w głowie rozsypują się w drobny mak. To bunt języka czy może pierwsze zbuntowały się myśli? Obwinia swój mózg, jakby nawet nie był częścią niej samej, lecz jedynie zdradliwą maszyną, która dziwacznie zatrzymuje mechanizmy jej myśli. Przemienia ją w rozsypane szczątki. Jak po upadku samolotu: gdzieś tam zachowały się całe przedmioty, może nawet kruche, dziwnie nietknięte, ale po potężnej maszynie nie ma śladu. Popiół i spalony szkielec.

Czasami mama bierze na ręce starą lalkę z dzieciństwa mojej córki. Zdziwiona niezręcznie obraca ją w dużych dłoniach. Przypomina mi to fotografię Elfriede Jelinek.

Siedzi na krześle piękna, elegancka, z mocno pomalowanymi ustami układającymi się w ironiczno-gorzki uśmiech. Na kolanach ma lalkę w kraciastej sukience. Ktoś jej wydłubał szklane oczy. Lalka się uśmiecha, ma rozchylone usta. Dla Jelinek jest symbolem dzieciństwa czy raczej niewinności? Takim symbolem miało być moje nagranie wideo. Palę kauczukową lalkę z dzieciństwa, dopóki kauczuk nie zacznie pękać jak wyschnięta ziemia. Później obcinam paznokcie i włosy. Martwymi częściami ciała posypuję lalkę.

.....

Ciesz się mnie meandryczność płynących skrawków historii, repetytywność, palimpsestowe zwieńczenie wydarzeń w czasie.

.....

Miałam trzy, cztery lata, kiedy dostałam pierwszą książkę: *Guliwer w Krainie Liliputów*. Rozgorączkowana przewracałam kolejne kartki, z których unosiły się jak żywe do połowy wycięte obrazki olbrzyma, drobnych ludzików, łódek i domów. Książka w ten sposób stała się moim pierwszym teatrem. Ten papierowy teatrzyk wprowadzał mnie w stan egoistycznego szczęścia. Nikomu nie wolno było choćby dotknąć książki, inaczej kopałam i plułam. Z wyjątkiem pomarszczonego staruszka, który mi ją czytał. Był to ojciec teścia mojego ojca. Kolejny starzec w domu starców, którymi opiekowała się moja mama. Tyle że teść ojca zmarł na gruźlicę zanim zdążyłam go zapamiętać. I zanim jego żona przegrała walkę z rakiem żołądka. Pamiętam ją jak przez mgłę. I tapczan, na którym ciągle leżała i jęczała, i czarną krew, którą wypluwała do miednicy przytrzymywanej przez mamę, kiedy umierającej matce pierwszej żony ojca odmówiono przyjęcia do szpitala. Swoją skarbę – książkę o olbrzymie – chowałam do maminej szafy wypełnionej ubraniami o zapachu Guerlaina, pudru, potu i jakiejś niezidentyfikowanej intymnej woni. Nieraz, kiedy chora na tapczanie bardzo krzyczała, wchodziłam do szafy. Ogarniała mnie wówczas dziwna radość, że mogłam ukryć się przed tym wszystkim. I słodki strach, z powodu którego tży płynęły mi z oczu. Wycierałam je ze śliną i smarkami o rąbek maminej sukienki.

.....

Poza książkami jedne wakacje są dla mnie „gromem z jasnego nieba”. Odkrywam film czy właściwie kino jako takie. To obszerna sala w domu kultury Czarny Orzeł w Liptowskim Mikulaszu, z zapachem kurzu, tanich perfum, ludzkiej skóry. Składane krzesła skrzypią. Z przodu zawsze siedzą Cyganie, bo nie wstydzą się, że chcą mieć cud na wyciągnięcie ręki. Srebrny tunel światła z nieskończoną ilością pyłków kurzu przenosi przezroczyste postaci na płótno. Bohaterowie czasami odwracają twarz w naszą stronę i rzucają przeciągłe spojrzenia. Nagle urywa się taśma. W milczeniu czekamy na ciąg dalszy kombinacji napomadowanego albo prawdziwego szczęścia, spokoju i dramatów między mężczyznami a kobietami, pokojem a wojnami, wsiami a miastami, biedą a bogactwem, smutkiem a gromkim śmiechem. Po filmie idę na lody. Przechodzę przez jezdnię i wąską uliczką dochodzę do kościoła ewangelickiego. Jest pusty. Galeria na ryneczku też. Plebania również wygląda na opuszczoną. Siadam na ławce, jeszcze raz przeżywam całe to oszołomienie fabułą filmową. Nawet nie przymykam oczu.

.....

Jest sroga zima. W Boże Narodzenie idę z mamą do kościoła. Ojciec pomrukuje za nami, że Bóg już nie istnieje. „Może nawet nigdy go nie było. Albo zapomniał o tym świecie! Wojen nie sposób wytłumaczyć. Tego, co widziałem w Mińsku, nie da się wytłumaczyć!”. Ojciec, podobnie jak dziadek, potrafi się rozplakać na samo wspomnienie wojny.

W przedsionku kościoła znajduje się coś w rodzaju tablicy ogłoszeń, jaką mamy w szkole. Króluje na niej wyjątkowy napis: BÓG JEST WSZĘDZIE I WIDZI CIĘ! A pod nim namalowane niebiańsko-błękitne oko bez rzęs. To oko naprawdę mnie śledzi. Wbiło wzrok w plecy jak nóż. Zupełnie nie wiem, czego ode mnie chce. Im głośniejsz grzmią organy, tym boleśniej wpatruje się we mnie oko. Nie sposób tego wytrzymać! Na parę sekund tracę przytomność. Spadam mamie na ręce, po chwili się podnoszę. Nikt poza mamą tego nie zauważył. W domu też mdleję bez powodu. Usłyszę gwizdanie i zaraz spadam w czarną miękkość. Przebudzam się, kiedy mama pociera mi cytryną skronie i nadgarstki. Po wyjściu z kościoła mama kupuje mi w cukierni w nagrodę makaronik – z powodu tego omdlenia. Wyjadam z niego orzeszki. Zapomniałam już o Boskim oku wbitym w moje plecy. Gruba sprzedawczyni zna mamę. Właśnie opowiada o moich omdleniach, dla których nie znajduje przyczyny. Mięsista kobieta uspakaja ją: „Nie wiesz? Zaczyna się dojrzewanie. Jak jej się ureguluje okres, to i omdlenia przejdą”. Następnie pokazuje palcem młodą kobietę z natapirowanymi, utlenionymi na żółto włosami. Przygląda się ciastom na wystawie. „Widzisz tę kurwę?”, zwraca się do mamy. „Włóczy się z restauratorem, który jest od niej przynajmniej ze dwadzieścia lat starszy! Kupuje temu głupcowi bezy kokosowe. Nawet teraz się na nie gapi! Przynajmniej by mu mogła upiec! Jak porządna baba! A ona co?! Woli jeździć na nartach! Jak jakaś paniusia! Nawet jej już nasze Tatry nie wystarczą! Do Zakopanego potrzebuje, kurwa jedna!” – klnie sprzedawczyni i ładuje do buzi jedną bezę za drugą.

Zaczynam poznawać język, jego twardą seksualność. Słowo, którego użyła sprzedawczyni nie jest nowe, ale duszę je w sobie z dziecinną wstydlivością.

Ten restaurator nas odwiedza. Właściwie to raczej handlarz obrazami i monetami. Całuję mnie w rękę: „Wyrosła nam śliczna młoda panna. Panienska chodzi do liceum, nieprawdaż? A później uniwersytet, tak?” – mówi przymilnie. Stoję przed nim zakłopotana, jak kłoda, przecież chodzę dopiero do siódmej klasy. Garbię się, kiedy mężczyzna schodzi wzrokiem na moje piersi. Szczypie mnie w policzek: „A czy panienska już była zakochana?” – pyta wciąż tym przypochebnym tonem i świdruje mnie bystrymi oczkami.

Nikt na świecie, nawet moje koleżanki Alena i Marka, nie wiedział, że moją pierwszą miłością w J. był około trzydziestoletni geodeta. Zakochałam się w nim w wieku pięciu lat, kiedy mierzył granice pól dla nowej spółdzielni. Przychodził do nas na obiad albo do gospody, żeby zadzwonić do kogoś z telefonu na korbkę – jedyne go we wsi. Potajemnie wkładałam mu do kieszeni marynarki ziola, a wiosną rzeczne kamyczki. Serce waliło mi z podekscytowania darem i z miłości. Nigdy mnie nie zauważył i nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Po tym, jak wyjechał, gdy zasypiałam, włożyłam dłoń między uda. W brzuchu rozlało się wspaniałe, słodkie uczucie, które miewałam po zjedzeniu gałki

lodów. Było mi wszystko jedno, że moje myśli chyba są złe, że jakby się mama dowiedziała, to kazałaby ojcu przynieść z kuchni kij, a ona by mi wlała, bo ojciec nigdy nie był w stanie tego zrobić. Wykonywanie kar zawsze należało do mamy. Czasami potrafiła mnie uderzyć tak silnie, że krew tryskała mi z nosa. Nigdy się nie dowiem, co wtedy czuła. Dziś już tego nie pamięta.

Pewnego razu, miałam wtedy przy sobie dwuletnią córkę, spotkałam geodetę w autobusie. Na pewno był już po pięćdziesiątce, ale jego twarz nie straciła wyrazu siły, który przebijał spod szlachetnych rysów. Był zachmurzony, trochę się zmienił, to prawda, ale nie za bardzo. Włosy mu się przerzedziły, a mięśnie nieznacznie zwiótzały. Pod letnią koszulką było to wyraźnie widać. Moja uśpiona miłość przebudziła się. Usiadłam z córeczką na kolanach na siedzeniu naprzeciw niego. Patrzyłam na niego rozszerzonymi oczami, z delikatnym uśmiechem. Zauważył, nie sposób było tego nie dostrzec. Po jego twarzy przemknął pytający grymas. Uśmiechnął się lekko, trochę się wyprostował, poddawał się kuszeniu, patrzyliśmy sobie w oczy, głęboko, czas przestał istnieć, powinien był wysiąść, ale nie wysiadł, pojechał tam, gdzie ja. Na dworcu kolejowym, gdzie autobus miał ostatni przystanek, nieśmiało zaprosił mnie na kawę. To były pierwsze słowa, które wypowiedział. „Może” – powiedziałam – „gdybym nie miała ze sobą córki, poszłabym z panem. Gdzie by pan zechciał. Ale już jest za późno!”. Stanął jak wryty, w rozkroku, niczego nie rozumiejąc, żarliwie i zniechęca zakochany – tak, wyraźnie to poczułam – może też do samej śmierci, pomyślałam. Córka kurczowo mnie obejmowała, jakby chciała uduścisć, gdybym tylko ruszyła za nieznanym.

.....

Pewnego dnia moja mama, elegancko ubrana, wybierała się do miasta do rady narodowej, ponieważ była matką chrzestną nowonarodzonego dziecka. „Jeszcze się z nim nie możesz pobawić! To takie maleństwo. Mogłoby mu się coś stać” – powiedziała i wyszła, stukając na chodniku obcasami nowych półbutów. Usiadłam w kurzu drogi przy bramie naszego domu, wyobraziłam sobie, że to ja jestem wysoką kobietą w eleganckim wełnianym kostiumie, rękawiczkach i kapeluszu, że to wszystko zdejmuje ze mnie mój kochanek, mój mężczyzna, mój geolog, że delikatnie mnie gładzi, lekusierńko, tak jak ja to robię w ukryciu, że od tych dotyków w tajemniczy sposób na świat przychodzi dziecko. Kiedy indziej wyobrażałam sobie, że noszę suknię z wycięciami na biust, z wycięć wystają krągłe, nagie piersi. Widziałam je tak dokładnie, aż mnie rozboleły drobnutkie dziecinne brodawki. Nagle ogarnął mnie strach. Przyszło mi na myśl, że fantazje kielkujące w mojej głowie są zabronione, niedobre i ja sama jestem bardzo zła. Ale kiedy odczuwałam radość i lekkość jak balonik, głaskali mnie po niepostusznych włosach, chwalili, że nie płaczę bez przyczyny, że się śmieję i robią mi się dołeczki w policzkach, które zrobiła mi akuszerka. Do obu rąk dawali lizaki, które wielbiłam jak swoich lizakowych kochanków.

.....

W dzieciństwie ojciec często nas fotografował flexaretem. Teraz, po wielu latach, siedzimy z mamą przy stole nad zdjęciami ojca. Przez otwarte drzwi balkonowe dochodzi

muzyka z radia od sąsiadów z góry albo z dołu. Mama zapala lampę, bo wydaje jej się, że jest ciemno. Widzę, jaka jest zmęczona tą defiladą twarzy i postaci, uśmiechów, gestów, wystylizowanych póz, ubrań, starannie zaczesanych włosów. Bardziej męczy ją wysiłanie pamięci niż melancholia za tym, co już raz na zawsze odeszło.

Na jednym zdjęciu zrobionym przez ojca flexaretem mama stoi. Jest młoda i, co ciekawe, roześmiana. W palcach trzyma źdźbło rozkwitniętego kminku. Wiatr podwiewa jej krawędź kwiecistej sukienki z chińskiego jedwabiu. Pamiętam tę sukienkę z krótkimi kimonowymi rękawami. I buty na korkowym obcasie. Jako dziecko często wyjmowałam tę właśnie sukienkę z maminej szafy, zakładałam ją, ciągnęłam za sobą.

Na zewnątrz słychać krótki, głuchy strzał. Coś stuknęło. Wychodzę na balkon. Zastrzelona jaskółka. Wychylam się przez poręcz balkonu. Jacyś chłopcy uciekają za śmietniki. Układam jaskółkę na serwetce i wynoszę pod krzak właśnie rozkwitniętych piwonii rosnących przed klatką. Kiedyś posadziła je tam mama.

.....

Lato jest już dawno za nami. Nie otacza mnie już krąg dawnej rodziny. Przeminęły letnie zapachy ogrodu i zimy o zapachu pączków, które babcia smażyła na oleju i podawała z grzany winem z pianą z żółtek i cukru. „Ten japoński serwis wasz dziadek przywiózł z Ameryki i do tej pory nic się nie rozbiło” – mówiła z dumą, wlewając gorący napój do porcelanowych filiżanek. „Gdyby reżym Gottwalda nie skrócił mu życia, jakby mógł mieć swoje pola, lasy, swoje konie i krowy, to teraz by tu siedział. Grałby z wami w karty o fistaszki”. Następnie ze zrećnością starej karciarki na czarnym blacie owalnego stołu rozłożyła karty w krąg i przez cały wieczór aż w nieskończoność graliśmy w karty. Z kaflowego pieca promieniowało ciepło, ale wystarczyło podejść do kąta przestronnego pokoju albo do okna, a od ściany ciągnął szron. „Nie dotykaj! To oddech zmarłych! Zachorujesz na gruźlicę!” – krzyknęła prababcia z długiej kanapy. Kanapa miała podłokietniki w kształcie czarnych węży. Była wykonana z hebanowego drewna, tapicerowana zielonym pluszem. Posadzono na niej prababcię, drobną, całą w czerni, podano jej grzane wino, ale w zwykłym kubku, bo palce miała niepewne, poskręcane reumatyzmem. „To od prania w lodowatej wodzie. W przerębli wyciętej w lodzie” – mawiała, kiedy z zaciekawieniem dotykałam zgrubień. Pergaminowoblade, pomarszczone policzki po kubku winnego napoju poróżnowały i zaczęła chichotać. Czasami kuliłam się obok niej na tapczanie i czytałam *Stare podania czeskie* Jiráská. „Poczytaj mi. Przypilnuję cię. Zrobię ci miejsce” – prosiła prababcia.

....

Pamiętam kilku wariatów z dzieciństwa. Każda wioska miała swojego „cichego wariata”, człowieka z jakiegoś paralelnego świata, bez skorupy, miotającego się w zbyt trudnym dla niego, zamkniętym świecie. W O. mieszkał Jożko. Ciągle roześmiany, z niespokojnym krokiem. Inny „cichy wariat”, którego imienia nie pamiętam, wychodził z domu tylko czasami, w lecie najczęściej wybierał się nad Smreczankę. Zanurzał w rzece swoje długie, białe ciało. Podobno w dzieciństwie ojciec położył mu głowę na pieńku przed stodołą i groził matce, swojej żonie, że utnie tę dziecięcą, płaczącą wniebogłosy

główkę. Oprócz cichych wariatów w J. żyła stara kobieta, którą mieszkańcy wsi zaliczali do „furiackich wariatów”. Mieszkała na skraju górnej osady. Właściwie przy samym cmentarzu, w drewnianej chacie, obok której musiał przejść każdy kondukt pogrzebowy. Zawsze, kiedy coś ją w takiej chwili opętało, przez przednie zamknięte okno wyrzucała garnki i rondle. Szkło sypało się na wąty trawnik w ogrodzie. Bałam się tamtędy chodzić, ale pewnego razu na Wielkanoc poszliśmy na górę narwać pierwiosnków i zobaczyłam twarz szalonej za nowo wprawionym oknem. Robiła straszne miny i coś do mnie krzyczała. Mogłam mieć wtedy cztery lata, w jej twarzy ujrzałam jaszczurkę pokrytą łuskami. W oczach błyszczało coś, co wyglądało jak zielonkawe światło. Podobne do tego, jakim w letnie wieczory świeciły robaczki świętojańskie. Uciekłam stamtąd z walącym sercem. Ponoć umarła tak, że rozpędziła się w kuchni, przebiegła przez sień, w której, jak w każdej sieni, panował zapach moczonych konopi, przebiegła do przedniej izby i w szaleństwie rzuciła się na wysokie lustro, jedyny wytworny mebel w całym domu. Nikt nie wiedział, skąd się tam wzięło. Wyobrażam sobie, jak szkło poraniło twarz, ramiona, brzuch, uda staruszki. Jak naga przetacza się w ostrych odłamkach. Jak się rani. Znalaziono ją po kilku dniach w kałuży zakrzepniętej krwi. We wsi mówiono, że straciła rozum, kiedy sama urodziła dziecko. „Potajemnie, bo była nieślubnym dzieckiem, a takie zawsze były przekłete” – syczeli niemiłosiernie. Zmarłego noworodka ubrała w swoją białą bluzkę i na długie lata schowała w drewnianej skrzyni pod dachem swego domu, w której niegdyś zbierano wiano dla panny młodej.

.....

Wciąż coś mnie korci, by pewnego razu cofnąć się, a następnie pójść dalej i obserwować własne myśli. Może tak właśnie działa wyobraźnia, może to opętanie tematem dzieciństwa albo zmiany w tożsamości. Raz dokumentalna prawda, kiedy indziej fantazja fikcji.

.....

Żaden chłopiec nie okazał się lepszy od mojego geologa. Znów myślałam o nim w gorące letnie noce, kiedy przez okno wdzierały się zapach ogrodu, wilgotnej ciemności, szczekanie psów i księżyc w pełni. Drażniący, ale jałowy kochanek. Leżałam naga na lnianym prześcieradle, jednym z wielu utkanych przez prababcię, a ciało powoli zaczęło się poruszać w rytm erotycznych fantazji.

○ takiej cielesności w naszej rodzinie się nie mówiło. Pragnienia cielesne były intymne, były wyłączną sprawą każdej z nas. Stare kobiety czasami rozmawiały o miłości, ale nie o tej, której doznały ich ciała. Czułyby się zmieszane. Może to dlatego zakiełkowały we mnie odziedziczone uczucia, kiedy o wiele później pewna starszejca się kobieta opisywała mi stosunek swojego męża z nieznaną dziewczyną. Tak samo jak wcześniej bezlitośnie opisał jej go on sam. Najpierw bez choćby jednego dotyku od ud w górę obwąchiwał ciało kochanki i już sam jej zapach rozbudził w nim nieokiełznane pożądanie. Kobieta masochistycznie opisywała seks swojego męża z nieznaną dziewczyną i namiętnie wywijala igłą.

Przyszło mi do głowy, że właściwie już od kilku lat nie widziałam B. Zaprosiła mnie kiedyś na spacer do lasu, gdzie nieraz sypiała pod gołym niebem. Przyniosła ze sobą dwie reklamówki i z tym swoim wiecznym uśmiechem poprosiła, żebym zbierała z nią śmieci po obcych ludziach. Z pudełka po zapalniczkach wyścielanego watą wyjęła coś, co przypominało larwę. Niedonoszony chomik. Dozownikiem od kropli do oczu B. dawała mu do picia jakieś specjalne mleko, otwierając pyszczek palcami. Chomik połykał krople i błogo wyciągał łapki. Kiedy go nakarmiła, powróciła do zbierania śmieci i opowieści o bodhisattwach, którzy nawiedzają ją podczas medytacji. Nie pracowała i przez pewien czas szyła z kawałków materiałów szmaciane baby-jagi. Robiła im na drutach sweterki i pasiaste rajstopki. Jedną podarowała mi w prezencie. Do tej pory siedzi w kącie szafy. Na szyi ma woreczek z mantrą, którą B. przeznaczyła specjalnie dla mnie. Tylko raz byłam w jej mieszkaniu. Między rowerami w przedpokoju biegał królik, który ciągle deptał jej po piętach. Podobnie jak opuszczony kot, którego znalazła przed bufetem, gdzie chodziła się napić z obcymi facetami. W klatce z otwartymi drzwiczkami drapał chomik, pewnie samiczka, która nie donosiła. Piłyśmy kawę, a nad głowami latała papuzka falista, która mieszkała wśród gałęzi zawieszonych pod sufitem w kuchni. W mieszkaniu panował mrok, zapach mchu, trocin, traw i zwierząt. Wszędzie leżały szmaciane baby-jagi. Pewnego razu, dawno temu, o w pół do czwartej rano, zadzwonił do mnie mąż B., że jego żona nie wróciła z kursu tai-chi. Stało się to jeszcze przed przyjściem na świat ich drugiego dziecka. W jednej chwili zobaczyłam, jak potrącił ją samochód w ciemności nocy, widziałam ją zabitą, wrzuconą do rowu. Ale na kolejnych zajęciach tai-chi z tajemniczym uśmiechem przyznała mi się, że całą tę przeklętą noc spędziła z naszym mistrzem, milczeli, pili piwo i tak dalej. Nieraz przesiadywała na porośniętym trawą wzgórzu przed szkołą, do której chodziły jej dzieci. Biedulka, w dzinsach i batikowym podkoszulku, z cienkim ogonkiem włosów, sama wyglądała jak dziewczynka. Palła jak smok i wodnistymi oczami, które przypominały leśną taflę jeziora, patrzyła w dal, nie przed siebie, lecz gdzieś wstecz. Kiedy po rozwodzie mąż zabrał dzieci do innej kobiety, do innego miasta, coraz częściej przesiadywała z obcymi w osiedlowych lokalach. Kiedyś do mnie zadzwoniła. Mówiła tym swoim głosem bez śladu smutku, że wszyscy ją opuścili. „Cholera, nawet ta papuzka odleciała! Zupełnie mnie to dobiło. Musiałam się upić w trupa”. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje. Zalicza się do niezwykle kruchych, osobliwych duchowych outsiderów. Oni zawsze przychodzili na nasz świat przez pomyłkę i szukają z niego ucieczki.

.....

Czasami wspomnienia uwalniają się bardzo powoli. Dochodzę do przekonania, że w braku pośpiechu jest więcej piękna. Prędkość może tyranizować wyrzutami informacji, otępiać. Powolność rozluźnia. W powolności w głowie może się zrodzić odkrycie lub choćby zdziwienie.

Tego lata w centrum Preszowa można spotkać wielu Japończyków. Pewna młoda Japonka z przewodnikiem w dłoni pyta mnie, gdzie jest muzeum soli. Wskazuję jej drogę

do Solivaru i mam nieodparte wrażenie, że gdzieś już widziałam jej twarz. Przypominam sobie Setsuko, którą Balthus namalował w Villa Medici. Swoją żonę – młodzieńką tłumaczkę Setsuko – poznał w Tokio na wystawie sztuki francuskiej. Setsuko stała się jego ulubioną modelką. To ona pozowała malarzowi na obrazie *Japonka z czerwonym stołem*.

Pokój jest prawie pusty. Takie zwykle są wytworne przybytki Japończyków. Zielono-szarą podłogę przykrywa gładki żółtawy dywan. Pusta ściana w tle. Po prawej stronie rażąco czerwony stolik z bezbarwnymi kwiatami w wazonie i tabakierką na tacy. Przedmioty też mają szary odcień. Po lewej stronie widać fragment lustra na nóżkach. O czym może myśleć japońska kobieta o dziewczęco-chłopięcej urodzie? Leży na podłodze. Tuż przed lustrem podnosi się nieco na łokciu prawej ręki, a palce lewej opiera na udzie. Jest prawie naga, bo srebrzysty szlafrok ześlizguje się z ciała. Jest obrębiany tasiemką w tym samym kolorze co stolik – jedyny wyraźny akcent kolorystyczny. Szczupłe ciało przypomina szczególny gatunek człowieka-węża, pełznącego przez całą szerokość obrazu. Z bliska przygląda się swojej twarzy w lustrze. Nie widzimy jej odbicia. Twarz kobiety jest dla nas maską. Piękną, ale nieprzeniknącą. Balthus twierdził, że swoimi obrazami chce się uwolnić od bytu. Może kobieta również dusi w sobie namiętność. Cała jej cielesność ma być tylko pogłębieniem duszy, jak chciał tego malarz. Samotna kobieta z kości słoniowej nie patrzy w lustro tak jak my, ludzie Zachodu. Dla nas tradycyjnie jest symbolem narcyzmu. Dla taoistów pustą formą, która nie jest w stanie niczego uchwycić ani odbić. Dla Japończyków oznacza oczyszczenie. Dla kobiety z obrazu spojrzenie w lustro jest poranną kąpielą. Właśnie zanurza w nim twarz. Ani smutną, ani wesołą. A później całe ciało.

„Jestem sukienką!” – slogan sławnego projektanta chyba wciąż jest aktualny? „Nagle stałam się inną kobietą” – wyznała mi córka, opowiadając o tym, jak w tokijskim sklepie z odzieżą używaną przymierzyła jedwabne kimono. „Mocno ściśnięto mnie w pasie. Dziwny strój. Jak jakieś brzmie. I wolność zarazem. I na dodatek te ich tradycyjne buty! Mogłam robić tylko drobne kroki. Znienacka poczułam w sobie tę japońską kruchość i delikatność. »You are so cozy« – łamaną angielszczyzną schlebiała mi sprzedawczyni, uśmiechając się zza wachlarza. Weszłam w inną skórę. Po prostu czułam tę inność. I to wszystko przez ubranie! Rozumiesz?!”

Próbuję odszukać w pamięci to uczucie. Czy ja też poczułam w sobie coś z anonimowej Arabki, kiedy założyłam przed kamerą długą suknię sudańskiej kobiety zakończoną frędzlami, z rękawami sięgającymi aż pod kolana, żeby nie było widać nawet koniuszków palców. Na tył głowy założyłam białą maskę twarzy. Po plecach spływały i ciągnęły się za mną zsyte maski karnawałowe. Ruszyłam do przodu, kamera śledziła mnie od tyłu. Otaczał mnie zimowy krajobraz. Wzgórze nie było strome, lecz łagodne. Na wpół zamrożone bruzdy ziemi pokrytej warstwą śniegu utrudniały chód. Gлина lepita się do butów, a maski kolejno odpadały. Szłam, z rękami w geście oranta, zwisającymi

rękawami powiewał wiatr. Kiedy po półgodzinnej wędrówce na dobre oddaliłam się od statycznej kamery, wydawało się, że nad wzgórzem unosi się czarny ptak. Szarość zmierzchu i światło bez słońca myliły kamerę. Zdezorientowana automatycznie zaostrzała. W chłodnym powietrzu, po wyczerpującym wejściu odczułam ulgę, że udało mi się uciec od karnawałowego świata. Ale nic z Arabki.

Na oko jedenastoletnia dziewczynka w objęciach z chłopcem w paryskim metrze. Wyjęta z torebki puderniczkę i pędzelkiem dokładnie przypudrowała twarz. Usta pociągnęła szminką. Miała w sobie coś z Japonki Balthusa, coś z Arabki i Europejki, a także coś z wiecznego dziecka i wiecznej kobiety, która przez całe życie będzie zygakowato, tak jak latają muchy, poruszać się w przestrzeni swojego umysłu i ciała. Ale kiedyś się zestarzeje. Zażyje za dużo środków nasennych, żeby zasnąć w jednym z tych butwiejących paryskich domów z pleśnią na ścianach. Zaśnie z papierosem. Najpierw zajmą się włosy, przy skórze odrośnięte i siwe, dalej zafarbowane zgodnie z najnowszymi trendami mody. Później płomienie przeskoczą na koszulę nocną. Spali się napudrowana skóra twarzy, szyja i stare, pełne piersi. Ale ona, pogrążona we śnie, będzie szła po zaśnieżonym wzgórzu w stronę odległego horyzontu.

.....

Kontynuuję tranzyt mapami wspomnień – zygakowatym ruchem w umyśle. Przez jego treści i mechanizmy. Buddyści, siedzący w bezruchu w medytacji vipassana, coś o tym wiedzą.

.....

Parę dni temu odwiedziła nas w Preszowie czteroletnia Sofia. Wciąż pamiętam ją śpiącą w inkubatorze tuż po narodzeniu. Piękne dziecko, z ciałkiem jak z mlecznego szkła. „Ale wygadana kobieta! Podoba mi się to!” – rzuciła na korytarzu sąsiadka. Na dobranoc czytam jej w łóżku książkę. Kiedy gaszę światło, zasypia w ciągu kilku sekund. Tak szybkie przejście do innego świata mnie, cierpiącej na bezsenność, wydaje się cudem. Od czasu do czasu mruczy coś niezrozumiale, zgrzyta zębami, raz, dwa razy w nocy spada z łóżka. Układam ją z powrotem, w głębokim śnie, pachnącą lawendą, bo Sofia natychmiast zabrała mi moją lawendową poduszeczkę, którą przywiozłam latem z Prowansji, i wkłada ją w nocy pod policzek.

Kiedy byłam w jej wieku, uwielbiałam cyrk, który raz w roku przyjeżdżał do Liptowskiego Mikulasza. Najbardziej mi się podobała kobieta guma w świecącym stroju jak z rybich łusek. Głowę miała między udami, uparcie wpatrywała się we mnie tajemniczo pomalowanymi oczami. Później się rozplątała, a po chwili wyszła ubrana w elanową sukienkę z krótkim rękawem. Stała, zupełnie nieruchoma (pamiętam jej umięśnione łydki i czerwone czółenka), przed drewnianą płytą. Noże rzucające przez wąsacza świasty tuż przy niej. Cała ta scena z nożami, mięsem, krwią i kobietą mnie fascynowała. To była scena mojego pierwszego teatru o tematyce bliskości śmierci, zranienia, krwawej zabawy, kanibalizowania kobiety przez mężczyznę. „Dlaczego ta pani nie rzuca noży?” – zapytałam ojca, a on się roześmiał.

Trochę mniej ciekawiły mnie występy linoskoczków. Przyjeżdżali do miasta na jarmark, który odbywał się na rynku. Jadłam watę cukrową, stałam z wyciągniętą głową jak wszyscy widzowie. Nad naszymi głowami, na linie przywiązanej do wieży kościoła katolickiego i dawnego domu żupnego, balansowali linoskoczkowie: dwaj mężczyźni i jedna kobieta z blond warkoczem. Bezgłośnie sunęli na wysokościach po metalowej linie. Przypominali mi ptaki.

.....

Wspomnienia nie zawsze do końca są rzeczywistością również dlatego, że rzeczywistość jest tym, co sami uważamy za prawdziwe. Pewna niemiecka rzeźbiarka rozłożyła przedmioty na stole, a następnie odlała w gipsie przestrzeń między nimi. Relacjom między przedmiotami nadała wyższe znaczenie niż rzeźbom. W ten sposób z pierwotnej rzeczywistości powstała zupełnie nowa.

.....

Pisanie to samotność. Ale bezpieczna i szczerza. To zniknięcie w sobie. Tak głębokie, iż wywołuje stan zapomnienia samej siebie.....

.....

We wspomnieniach jesteśmy sami sobą, a zarazem kimś innym, niepoznanym w nas...

.....

Jest skwarny dzień. Na skórze czuję lepkość waty cukrowej. Powietrze się rozpada. Pierwszy piorun. Później dźwięk gromu. Swobodny wdech. Wszędzie jest muzyka – w ścianie deszczu, moim kaszlu, nerwach. W hałasie podnoszonych przez wiatr puszek po coca-coli koło śmietnika.

Pierwotna wersja ukazała się pod tytułem *Księga przemian* [*Kniha premien*] w czasopiśmie „Romboid” 2008, nr 2. Niniejsza wersja została zaktualizowana przez autorkę.



Zdjęcie Rast'o Čambál